

GOMETRIA



PRZETRWANIA

Napisał: Ryszard Głowacki

Ilustrował: Władysław Paweł Jabłoński

Była piękna. Piękniejsza w rzeczywistości, niż to wynikało z projekcji licznych materiałów dostarczonych przez bezzałogowe sondy, bez porównania piękniejsza od swego wielkiego modelu, powoli obracającego się w głównym salonie wypoczynkowym i nieustannie przypominającego o celu ich wyprawy.

Ogromna białobłękitna kula zdawała się zbliżać ku nim, brać ich w swoje posiadanie, wchłaniać bez reszty. Już łatwo można było rozróżnić znane kontury lądów, większe wyspy, olśniewająco białe czapy polarnych lodowców...

To stało się nagle – straszliwy wstrząs tarznął potężnym statkiem, zgasły wszystkie

światła z wyjątkiem awaryjnych, rozległ się przejmujący sygnał Zerowego Alarmu i równoczesny świst ulatniającej się na zewnątrz into atmosfery. Automatycznie zapadły hermetyczne grodzie, dzieląc statek na pięć odizolowanych fragmentów.

Imho odruchowo przywarł do ściany, początkowo nie rozumiejąc sytuacji. Dopiero po chwili do jego świadomości zaczęła docierać cała powaga sytuacji, jaką był Alarm Zerowy. Wspominało się o nim czasem, ale raczej jako o regulaminowej ciekawostce o minimalnym prawdopodobieństwie zaistnienia. Przez chwilę ludził się jeszcze, że to tylko sytuacja ćwiczebna, kopia podobnej z początku wyprawy,

jednak wnet odrzucił to rozwiązanie – nie robi się aż takich imitacji.

Alarm Zerowy, to znaczy natychmiast opuścić statek. W rufowej części jest tylko jedna kapsuła ratunkowa. Gdzie?! Rzucił się w stronę zakrętu korytarza, zaczeplił o jakieś wystające przewody. Nie, nie tutaj! W dół! Szarpnął się, oswobodził z pułapki, zawrócił. Rozrzęczenie stawało się wyczuwalne. W mroku dostrzegł otwarty właz śluzy, a w nim ciemny nieruchomy kształt. Wepchnął bezwładne ciało do komory oświetlonej mdłym zielonkawym światłem – to był Antar, z Kontroli. Poznał go po srebrzystym kombinezonie weterana. Przed katastrofą sprawdzał coś przy stabilizatorach.

Zatrzasnął klapy w ostatnim momencie, dusząc się z braku tlenu. Pomogło. Bezszelestnie otwarło się wejście do kapsuły. Co za ulga! Wsunął nieprzytomnego do środka, zamknął właz i spojrzał na przyrządy pokładowe – znajdowali się na odcinku zdumiewającej trajektorii! Nie trzeba było specjalisty, aby pojąć, czym zakończyłby się dalszy lot po niej. Błyskawicznie nacisnął spust urządzenia startowego i podał rozkaz wejścia na najbardziej ekonomiczną w tych warunkach orbitę.

Automaty działały sprawniej i wnet na ekranie pojawiło się potwierdzenie wykonania polecenia wraz z graficznym obrazem wydłużonej elipsy, po której kapsuła zaczynała okrążyć planetę.

Antar poruszył się niespokojnie i po chwili zupełnie przytomnie zapytał:

– Co się stało?

– Katastrofa. Nie znam przyczyny. Jesteśmy na orbicie w kapsule awaryjnej.

– A co ze statkiem?

W lawinie błyskawicznie następujących po sobie zdarzeń Imho zapomniał o statku i dopiero pytanie Kontrolera uświadomiło mu to. Natychmiast rozpoczął penetrację okoloplanetarnej przestrzeni w pobliżu płaszczyzny ich orbity. Nie musiał długo szukać – daleko w tyle ogromny płonący bolid przecinał gęstniejące warstwy planetarnej atmosfery w swym ostatnim, tragicznym locie. Po chwili zniknął w grubych zwałach oparów szczególnie

otulających duże połączenie największego z tutejszych oceanów.

– Nie ma już statku...

– Widziałem. Mimo to nie wolno się nam załamywać. Z pewnością inni też się uratowali. Nawiąż z nimi łączność, muszą być gdzieś w pobliżu.

– Najpierw muszę zobaczyć co z tobą.

– Nic mi nie jest, to tylko silne potłuczenia. Z pewnością wnet wrócę do formy.

– W takim razie w porządku – odparł Imho i włączył szerokopasmowy emiter łącznościowy. Wielokrotnie przeszukał wszystkie możliwe kanały, ale wszędzie panowała niczym nie zmacona cisza. W końcu bezradnie spojrzał na towarzysza niedoli.

– Wywohuj!

– Ja sześć, ja sześć. Do wszystkich. Odbiór! Ja sześć, ja sześć. Wzywam wszystkich. Odbiór! – wielokrotnie powtarzał Imho swoje wezwanie, by po nim z wyteżoną uwagą wsłuchiwać się w nieskazitelną ciszę, z rzadka przerywaną słabymi echemi galaktycznych kaktaklizmów. W końcu zrezygnowany odsunął się od aparatu.

– Chyba nikt więcej nie ocalał... Antar, co teraz będzie?

– Weź instrukcję numer dziewięć i postępuj zgodnie z nią. Bez względu na to, co stanie się ze mną – dodał.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic. Masz instrukcję?

– Tak.

– No więc czytaj wreszcie.

Imho rozłożył tekst Dziewiątej Instrukcji i zaczął przebiegać wzrokiem kolejne punkty. Wreszcie na piątym zatrzymał się.

– „Punkt piąty. Katastrofalne zniszczenie statku. W przypadku nie dającej się usunąć awarii statku, uniemożliwiającej dalsze posługiwanie się nim, należy przygotować warunki umożliwiającej przetrwanie załogi do czasu przybycia ekspedycji ratunkowej. W tym celu należy użyć standardowych pojemników anabiotycznych, znajdujących się w wyposażeniu kapsuł awaryjnych. Tok postępowania przygotowawczego podaje instrukcja numer jedenaście, dołączona do każdego pojemnika.

Punkt szósty. W celu stworzenia mikrokli-

matu wymaganego dla celów długotrwałej anabiozy, ochrony pojemników, a także w celu umożliwienia ekspedycji ratunkowej szybko odszukania załogi, należy z lokalnych materiałów skalnych wybudować odpowiednią bryłę osłaniającą (patrz rysunek) i umieścić w niej również cały dorobek informacyjny wyprawy.

Punkt siódmy. Bryła osłaniająca powinna być zlokalizowana w miejscu umożliwiającym natychmiastowe odszukanie jej z orbity, to jest w terenie płaskim, odkrytym i całkowicie pozbawionym pokrywy organicznej. Klimat miejsca posadowienia powinien być suchy, zaś atmosfera i grunt pozbawione związków korozyjnych.

Punkt ósmy. Bryłę osłaniającą wykonać zgodnie z projektem stanowiącym załącznik do niniejszej instrukcji. Do budowy użyć ciężkich maszyn stanowiących wyposażenie każdego statku”.

Imho skończył czytać, odłożył instrukcję i apatycznie zaczął wpatrywać się w ekrany, na których powolnym, jednostajnym ruchem przesuwiał się obraz powierzchni planety oświetlonej silnymi promieniami jedynej gwiazdy układu. Płynęły pod nimi zielone obszary wielkich kompleksów roślinnych, płowe plamy pustyń, niebieskie bezmiary skroplonego tlenu wodoru.

„A więc to tutaj przyszło mi zakończyć moją drogę” – rozmyślał wpatrzony w barwne plamy na ekranie. – „W dziwnym, obcym świecie, z dala od wszystkiego, co było znane i bliskie. I to już podczas pierwszej pozaukładowej wyprawy!” – Nagle złapał się na tym, że myśli o nieuchronnym końcu swego istnienia, jak o czymś, co spotyka kogoś zupełnie obcego i co jest mu absolutnie obojętne.

Powoli odwrócił się w stronę Kontrolera. Tamten leżał wciśnięty w kąt między ścianką działową a pulpitem sterowniczym, dziwnie mały i zmięty.

– Antar! Powiedz coś, słyszysz?

– Słyszę – rozległ się w odpowiedzi cichy szepot rannego. – Zbliży się do mnie.

Imho nachylił się nad leżącym i z uwagą zaczął wsłuchiwać w jego słaby głos.

– Instrukcję znasz. Wybierz odpowiednie miejsce i ląduj.

– To nie ma sensu, Antar. Przecież nie mamy żadnych maszyn, a bez nich nie zbudujemy tej ogromnej kamiennej góry. Żadna mniejsza zaś nie zapewni przetrwania.

– To prawda, Imho. Wobec tego posłużysz się nimi. Oni stoją już na dość wysokim stopniu rozwoju – budują domy, kopią kanały. Wybudują ci co będziesz chciał, musisz tylko podać im odpowiednią motywację. Nawiązanie kontaktu z nimi nie powinno ci sprawić większych kłopotów, bo przecież mamy skafandry mistyfikacyjne, uniwersalne wymienniki informacji i symulatory dźwięków. – Antar umilkł i jeszcze bardziej skurczył się w swoim kącie.

– Dlaczego ty stale mówisz tylko o mnie?

– Widzisz, po pierwsze ja jestem już po prostu stary, a taka budowa potrwa długo. Znam swój organizm i czuję, że zaczyna odmawiać mi posłuszeństwa. Po drugie, nasze zapasy są dość ograniczone, nie ma więc powodu, abym je jeszcze bardziej uszczuplał, bo wtedy żaden z nas nie dotrwa do końca budowy, a do tego nie wolno nam dopuścić. Przynajmniej jeden członek wyprawy musi wrócić żywy i zdać raport z jej przebiegu, bo wszystkie materiały przepadły. Inaczej cały nasz trud poszedłby na marne. A teraz nie mamy czasu do stracenia, wybieraj więc miejsce odpowiednie do budowy i ląduj.

Długo przeglądał Imho szczegółowe mapy powierzchni planety. Wybór właściwego miejsca od początku zdawał mu się być sprawą niewykonalną, bo pustynia wykluczała egzystencję niezbędnych do realizacji wielkiego projektu mieszkańców planety. Oprócz tego powinni oni reprezentować możliwie najwyższy stopień tutejszej cywilizacji.

Po wielu przymiarkach odłożył wielki stos map wykonanych przez automatyczne sondy badawcze i zrezygnowany zaczął wpatrywać się w nieustannie płynący obraz powierzchni tej planety, która stała się grobem ich wyprawy.

Właśnie nadlatywali nad granicę cienia przesuwanego się po wielkiej, płowej pustyni, gdy pewien szczegół gwałtownie przyciągnął jego uwagę – z mroku nocy wyłoniła się nieregularna linia równoległa do granicy cie-



nia, tnąca pustynię na całej długości ekranu. Szybko nastawił na maksymalne powiększenie – to była rzeka, obrzeżona z obu stron cienkimi, zielonymi wstążkami roślinności. Nie zdążył się dobrze przyjrzeć pustynnemu fenomenowi, bo wnet zniknął on z pola widzenia i pod nimi rozciągał się niegościnnie bezmiar największej z tutejszych pustyń.

Imho wrócił do odrzuconych map. Szybko znalazł potrzebny mu arkusz i zaczął go analizować. Tak, to była rzeka, jedna z najdłuższych. Wypływała z głębi dużego lądu i dzięki swojemu ogromowi przebiegała się przez wielką pustynię do odległego morza. Wziął bardziej poglądowy arkusz i skonfrontował go z małym modelem planety. Upatrzone miejsce leżało na styku dwóch najpotężniejszych kontynentów. Mapa zasiedlenia nie wykazywała jednak obecności wysoko rozwiniętych przedstawi-

cieli gatunku przodującego na terenie przyległym do rzeki, a bez nich pomysłu nie można byłoby zrealizować.

Ranny ocknął się z odrętwienia i z widocznym wysiłkiem zapytał:

– Znalazłeś coś?

– Zdaje mi się, że znalazłem. Wielka rzeka płynie przez pustynię. Nad rzeką intensywna roślinność. Drastyczna zmiana warunków na niewielkiej odległości – w takich miejscach z reguły powstawały cywilizacje. Można wylądować na pustyni, a równocześnie być bardzo blisko warunków sprzyjających życiu. Kłopot z tym, że nasza mapa zasiedlenia nie wykazuje tam obecności rozwiniętych grup autochtonów.

– Mapa jest przestarzała. Od czasu ostatnich badań mogły tam zajść wielkie zmiany. Przy następnym przelocie porób odpowiednie

obserwacje. A teraz odpocznij, ja cię zastąpię. Czuję się już zupełnie dobrze.

Imho ułożył się wygodnie i prawie natychmiast stracił kontakt z otoczeniem.

Obudził go natarczywy, wysoki dźwięk. Przez chwilę nie mógł zorientować się gdzie jest. Nagle przypomniał sobie katastrofę, zerwał się i zaczął rozglądać za Antarem. Kontroler leżał bezwładnie w swoim kącie. Nie żył już. Obok niego wałało się puste opakowanie autodestruktora.

Długo wpatrywał się Imho w skurczone ciało weterana, osłonięte srebrzystym kombinezonem.

Wysoki dźwięk sygnalizatora rozległ się ponownie. Jedno spojrzenie na model planety wystarczyło – świetlna plamka symbolizująca jego kapsułę zbliżała się do wybranego rejonu. Włączył urządzenie rejestrujące obraz powierzchni planety i intensywnie zaczął wpatrywać się w ekran. Wreszcie nadpłynął znany mu już widok wielkiej rzeki tnącej pustynię oświetloną teraz pełnym blaskiem gwiazdy. Z najwyższą uwagą śledził wybrany teren, ale dopiero kiedy wychodził on już z pola widzenia dostrzegł coś, jakby układ kilku równoległych linii biegnących od rzeki w stronę pustyni. W tym samym momencie obraz umknął poza ramę ekranu.

Niecierpliwie zażądał kopii utrwalonych obrazów terenu i skrupulatnie zaczął je analizować. W pełni potwierdziły ostatnią obserwację – nad brzegami pustynnej rzeki istniała prymitywna cywilizacja, stworzona przez jeden z licznych tutejszych gatunków.

Faraon Dżeser odpoczywał na tarasie swojego pałacu w Memfis i z głębokim zadowoleniem wpatrywał się w potężną schodkową piramidę, wznoszącą się wysoko na skraju pustynnego płaskowyżu. Gigantyczna budowla zbliżała się do końca, jeszcze tylko jeden sezon największe dzieło wszystkich czasów załśni całym majestatem swego potężnego piękna, niosąc w czasie i przestrzeni nieprzemijającą sławę jego imienia, uczyni go nieśmiertelnym. Już niedługo zniknie stamtąd na zawsze czarny

anonymowy tłum fellachów – nędznych ludzkich mrówek popędzanych okrzykami i kijami dozorców, a zjawią się ciche postacie kapłanów, by po wieczne czasy słać jego imię, największego ze wszystkich władców Ziemi.

Od strony świętego Nilu nadleciał orzeźwiający podmuch wiatru, zakotłosał postrzępionymi czubami palm, zawirował na pałacowym tarasie. Władca przerwał marzenia i klasnął w dłoń. Zza kotary bezszelestnie wychylił się jego ulubiony sługa i w kornej postawie przystanął u wezgłowia królewskiego łóża.

– Słucham cię, o panie.

– Wezwij tu do mnie wysłannika bogów, szlachetnego Imhotepa.

– Tak, panie – służący skłonił się głęboko i bezszelestnie zniknął za kotarą, a boski władca ponownie zatonął w marzeniach. Przerwał mu je dopiero głęboki i dźwięczny głos nadwornego architekta.

– Wzywałeś mnie, królu...

– A, to ty, szlachetny Imhotepie – faraon Dżeser uniósł się na posłaniu i uśmiechnął do swego doradcy, zesłanego mu przez bogów. – Tak, chciałem zapytać, czy twoje odejście jest nieodwołalne? Czy nie mógłbyś zostać ze mną do końca dni moich i służyć mi światłą radą i pomocą, jak to czyniłeś dotychczas?

– Niestety, panie. Bogowie przysłali mnie po to, abym rękami twoich poddanych zbudował dla ciebie tę oto piramidę, zapewniającą ci wieczną sławę i nieśmiertelność, bo jesteś ich ulubieńcem. Teraz moje poselstwo dobiega już końca.

– A więc odejdziesz tam, skąd przybyłeś na skrzydlatym rydwanie?

– Odejdę, królu.

– Powiedz mi, kiedy to nastąpi, abym mógł godnie cię pożegnać.

– Niezbadane są wyroki bogów. Mogą mnie wezwać w każdej chwili. A kiedy zniknę, nie każ mnie szukać, panie, bo nie będzie mnie tutaj. Czuję, że nastąpi to już wkrótce. Kiedy po najdłuższym i najślawniejszym żywocie pojedziesz do krainy Ozyrysa, spotkamy się tam. A więc nie trzeba mnie żegnać, boski władco.

– W takim razie do zobaczenia, boski Imhotepie.

– Do zobaczenia, synu boga Ptaha.